

## WIESŁAWA KŁĘBUKOWSKA

ur. 1933; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie, Państwowa Operetka w Lublinie, PRL, dzielnica Kalinowszczyzna, wyłączenie szkolnictwo, życie codzienne, życie kulturalne, Stare Miasto, ulica Okrzei, ulica Garbarska, ulica Hipoteczna, ulica Narutowicza, osiedle Kalinowszczyzna, klub osiedlowy, Klub Osiedlowy ODEON, mieszkanie w PRL, spółdzielnia mieszkaniowa, Spółdzielnia Mieszkaniowa "KOLEJARZ", mała matura, podręczniki szkolne, Związek Młodzieży Polskiej, ZMP, Szkoła Handlowa Vetter'ów, nakaz pracy, nakaz uczestnictwa w pochodach, Kasa Zapomogowo-Pożyczkowa, pochód 1 Maja, Centrala Tekstylna, Centrala Wojskowa, kolonie dla dzieci, wycieczki, pracownicze wycieczki, zagraniczne księgowia, repasaczka, sumator, arytmometr, kartki na zakupy, Prawda (czasopismo), Robotnica (czasopismo), Kołchoznica (czasopismo), przedsiębiorstwo Orbis, pociąg przyjaźni, kino objazdowe, Operetka (spektakl), bajki radzieckie, filmy radzieckie, Kłębukowska Konstancja, Stachowicz Stanisław, Wawrzyńczykówna Maria, Bierut Celina, Janicki Edward, Seroczyńska Janina

Sprowadziliśmy się tutaj w 1969 roku w związku z tym, że zostaliśmy wyłączeni z ulicy Wiejskiej 8, gdzie się urodziłam i gdzie do '9 roku [mieszkałam] razem z rodziną.

### 1. Perspektywa mieszkania na nowym osiedlu

Perspektywa, że się przeniesiemy do nowego budownictwa właściwie miała dwa aspekty. Myśleliśmy –no tak, będziemy mieszkali w nowoczesnym budynku, gdzie będzie prawdziwa łazienka, będzie centralne ogrzewanie, nie trzeba będzie nosić węgla. Te perspektywy jakoś tak mnie przekonywały, że może będzie lepiej. Ale wcale lepiej nie było. Tam była duża swoboda, był duży ogród. Więc, mimo że warunki były takie trudniejsze do zamieszkiwania, to tam byliśmy u siebie. Nie mogę powiedzieć, że to było coś przykrego, czy lęk przed tym, że będziemy w jakimś ogromnym środowisku, ale zanim tu się [przeprowadziliśmy], to perspektywa była taka, że albo się przenosimy, albo dostaniemy mieszkanie kwaterunkowe. Cały czas byliśmy straszeni, że zostaniemy na Starym Mieście. Stare Miasto nie wyglądało tak,

jak w tej chwili. Stare Miasto było zniszczone, a jeśli chodzi o sanitariaty to nie wiem, jakie to były warunki, ale w każdym razie tam była nędza. Raczej była nędza, dopiero na dziesięciolecie [obchody X-lecia PRL] troszeczkę te fasady budynków zostały odremontowane. Więc powiedzieli: „Albo Stare Miasto, albo się pani zapisuje do spółdzielni” Do spółdzielni! Żeby w ogóle do spółdzielni się zapisać trzeba było mieć jakiś wkład. My oczywiście pieniędzy nie mieliśmy, bo z tytułu wywłaszczenia, jak nam powiedzieli, będziemy dostawali pieniądze na raty, a żeby te raty uzyskać, to jeszcze trzeba było pisać do ministra finansów, żeby był uprzejmy nam [wyplacić] jakąś część tej należności, która i tak była dziadowska. To nie było wywłaszczenie, ja to nazwałam złodziejstwem. Ale jeśli chodzi o ten wkład to dostałam pomoc finansową z zakładu pracy. Zanim jeszcze dostaliśmy [mieszkanie], okazało się, że ja jestem dwuosobową rodziną –to znaczy ja i mama, więc dostaniemy jeden pokój z kuchnią. –„Przecież może pani mieszkać w tym samym pomieszczeniu” Taka była mentalność, takie było przekonanie. Mimo że to była spółdzielnia to jeszcze robiono nam łaskę [w kwestii tego], ile my możemy tej powierzchni uzyskać. Dzisiaj jest to niewyobrażalne, ale tak było. Ja nie wyobrażałam sobie, jak to zrobić w jednym pomieszczeniu, gdzie wiadomo jaka jest powierzchnia pokoi. Gdzie trzymać [choćby] pościel? To praktycznie było nie do opanowania. Więc na podstawie zaświadczenia lekarskiego, że mama ma problemy sercowe, spółdzielnia wyraziła zgodę i przydzielili nam dwa pokoje. Otrzymaliśmy te dwa pokoje, ale teraz był problem, co zrobić z tymi meblami, które mamy w tamtym domu. To były duże, stare meble. Dębowy stół, ogromna dębowa szafa, druga szafa bielizniarka, wszystko to, co miało się w dużym mieszkaniu. Jedną szafę można było rozebrać i tę szafę tutaj wnieśliśmy, ale poza tym nic, ani kredensu z kuchni, ani stołu. Stół, to była w ogóle abstrakcja, żeby nawet gdzieś go wnieść. Mieliśmy taką znajomą panią, która nam ze wsi przywoziła cielęcinę i zapytaliśmy, czy ona by chciała je wziąć. Po prostu wziąć, bo nie było wtedy takiego zapotrzebowania na antyki, a te meble już były antykami. Zabrała je na wieś i tak skończyło, że właściwie do nowego mieszkania wnieśliśmy tylko jedną szafę, która się rozkręcała. Trzeba było wszystko kupić. Minister finansów pozwolił [na wypłatę]. To wtedy była, powiedzmy, równowartość jakichś dziesięciu tysięcy [złoty]. Za to kupiłam karnisze, żeby zawiesić firanki, kupiłam chyba jedną wersalkę i żyrandol. I to było wszystko, co mogłam kupić za te pieniądze. A potem się sukcesywnie kupowało, po prostu jak były na to pieniądze. Budynek był jeszcze nieotynkowany, on jest zbudowany z takich wielkich [płyt], to jest takie blokowisko. Oczywiście, żeby dostać [mieszkanie] na drugim piętrze znów trzeba było wykorzystać znajomości. Bo to nie było tak, że ja sobie życzę i zamawiam. Teraz sobie można wiele rzeczy życzyć, przedtem się dostawało po znajomości. Siostra miała znajomą, dzięki której właściwie [mamy] to mieszkanie na tym drugim piętrze. Bo, jeśli chodzi o windę, to –dobrze, jest u nas winda, ale ta winda może się psuć, więc może potem być problem wchodzenia na przykład na dziesiąte piętro. Na szczęście winda od początku działała. Ale problemem był też rozkład mieszkania. Tu

najpierw z korytarza wchodzi się do małego przedpokoju, potem jest wejście do kuchni, do małego pokoju, do pokoju większego, ale to jest dziupelka ten mały pokój. Z tego dużego pokoju jest znów malusieńki przedpokój, z którego jest wyjście do łazienki i do kuchni. Kuchnia –nie miałam pretensji do kuchni, bo ona w porównaniu z innymi osiedlami [przynajmniej] miała okno, a na naszym osiedlu też są [ślepe] kuchnie.

## **2. Gomułkowski standard mieszkaniowy**

Na naszym osiedlu są mieszkania 3-pokojowe ze ślepą kuchnią. 3-pokojowe mieszkanie, które jest [przeznaczone] dla większej rodziny i jest [w nim] ślepa kuchnia. Kuchnia ma tylko prześwit z pokoju, u góry są okienka. Ponieważ każdy [szukał] możliwości wykorzystania każdego kąta, to wielu ludzi albo to zabudowywało, albo zastawiało szafą, bo trzeba było gdzieś ten mebel postawić. U mojej kuzynki w wieżowcu również na tym osiedlu, jest duży pokój z taką wnęką do spania, gdzie spały małe dzieci, ale też jest ciemna kuchnia. W tej kuchni można się upiec, jak się coś gotuje, nie ma warunków do wietrzenia. Więc ja już uważałam, że mam luksusową kuchnię. Ale znów usytuowanie łazienki krępowало mnie. Przez wiele lat nie mogłam się do tego przyzwyczaić, bo przecież człowiek prowadził jakieś życie towarzyskie, przychodzili znajomi i rodzina na święta, imieniny. I każdy biegnie do tej łazienki. Już nawet myślałam, że tam radio włączę, żeby grało cały czas, żeby nikogo nie krępowало, ale się z czasem przyzwyczaili. Był taki okres, kiedy żal mi było po prostu mojej mamy, która tu spała w dużym pokoju, a ja jak szłam do pracy, to przez ten pokój biegałam do kuchni, do łazienki. Kiedyś zażyczyłam sobie, żeby tutaj postawiono ścianę, w tym pokoju. Widać po tym ślad na podłodze, tu była ściana wybudowana, ale jak robiliśmy spotkania rodzinne, a osiemnaście osób to tak najmniej było, to ciasno im było wszystkim. Ja nigdy nie siedziałam w tym kącie jak było nas tak dużo, a okazało się, że tam po prostu nie ma cyrkulacji powietrza. Odwiedziłam potem swoją znajomą, która tu mieszka w drugim budynku i ma takie samo mieszkanie. Siedzę u niej i [mówię]: „Masz taki duży pokój” A ona mi na to: „Przecież ty masz taki sam” Przyszłam do domu i zakomunikowałam: „Rozwalamy ścianę” Rzeczywiście to była szybka decyzja. Pracownicy z administracji przyszli, rozwalili tę ścianę i teraz jest pokój taki jaki był w pierwotnej wersji. Problemem było ogrzewanie. Jednorurowe. Z centralnego kotła, który jest w piwnicy gorąca woda idzie aż na jedenaste piętro, bo na jedenastym piętrze jest pralnia i suszarnia. To ciepło nie było pompowane, ono miało jakoś tak samo wędrować, więc jak doszło do pierwszego, do drugiego pietra to potem ta woda już była zimna. Było tak strasznie zimno, że ten entuzjazm, że będę miała mieszkanie z centralnym ogrzewaniem bardzo szybko prysł. Były monity, potem zamontowali jakąś większą pompę i cały czas ten inżynier, który to wynalazł, pan Kwiatkowski i jeszcze jakiś z Politechniki, przekonywali mnie: „Proszę pani, to jest szwedzki system” Ja mówię, że może w Szwecji to zrobili porządnie, a tu ktoś spartaczył, bo przecież jeżeli ma dojść to

ciepło, to ta ciepła woda, która ma ogrzewać nie może być tylko lekko ciepła. To trzeba wyjść od odpowiedniej temperatury, trzeba jakiegoś ciśnienia. Potem było już troszkę lepiej. Teczka z podpisami lokatorów, którym było źle w tym budynku, którzy mieli to mieszkanie nieogrzewane, dosłownie puchła od naszych monitów. Ja tak bardziej się angażowałam do tej akcji, do walki. W końcu zrobili to. W tej chwili, czyli od dwóch lat to ogrzewanie funkcjonuje, dopiero po tylu latach ogrzewanie w łazience funkcjonuje normalnie. Jak zaczął się sezon, to po miesiącu, czyli już zimą, to grzało. Tylko przez ten okres rozruchu, który trwał tak miesiąc do półtora [miesiąca], było zimno. A przecież nikt w ubraniu się nie myje. Ale jeśli chodzi o takie zaplecze, to teraz jest coraz lepiej. Drogi są w tej chwili wymieniane, chodniki, więc chodzi się bezpiecznie. Starają się, żeby dla ludzi starszych były poręcze, montują je przy wszystkich schodach, tak, że jest też większe bezpieczeństwo.

### **3. Infrastruktura osiedla**

Jeśli chodzi o takie zaplecze handlowo-usługowe to od początku tu był dobry projekt. W jednym budynku, tutaj przy ulicy Lwowskiej 2, cały ten pasaż handlowy jest wysunięty. Nie jest pod budynkiem, tylko tak wysunięty, a nad nim jest taras, więc [mieszkańcy] nie mają takiego bezpośredniego sąsiedztwa przez stropy ze sklepami. To jest taki pasaż zupełnie przybudowany do tego drugiego budynku. Po drugiej stronie również, kiedy budowali to osiedle to tam też [powstał] cały taki pasaż handlowo-usługowy, więc właściwie tu mamy dobre zaopatrzenie. W jakimś okresie dobudowali nam tu takie budynki, budki takie drewniane. One właściwie nie były potrzebne, bo w sensie zaopatrzenia starczyły nam [sklepy], jeśli chodzi o profil i asortyment tego handlu. Ale ktoś miał widocznie gdzieś jakieś dojścia i pozwolono wybudować takie drewniane budy. One nie są na miarę XXI wieku. Jest [natomiast] bardzo ładnie usytuowany plac zabaw przy ulicy Krzemienieckiej, bardzo ładnie zorganizowany wśród zieleni. Jest głośny, ale ja nie słyszałam, żeby ktoś ta narzekał, że dzieci hałasują.

### **4. Tu jest wszystko, jeśli chodzi o infrastrukturę**

Jest również na terenie naszego osiedla tak zwany plac pod krzyżem. To był plac, nie wiem do czego przewidziany, ale jak zaczęły się uroczystości kościelne, ponieważ tu mamy blisko kościół, na przykład Boże Ciało, to trzeba było gdzieś zatrzymać się na tę ostatnią mszę i na uroczystości przy ostatnim ołtarzu. Więc tam to zorganizowano, właśnie na boisku, które było po prostu takim placem i tam postawiono krzyż. Ten krzyż został i [obecnie] administracja już stara się, żeby ta trawa była tu wykoszona. W wąwozie zrobiono piękny, duży wybieg dla psów. W tym wąwozie jest teraz też ogrodzony stadion, gdzie odbywają się imprezy szkolne, dni radości, dni sportu. Więc tu jest hałas, jest tych dzieci, ale prostu jest życie i nikomu to nie przeszkadza. Na terenie naszego osiedla, tam na dole, przy ulicy Kalinowszczyzna jest administracja. Oprócz tego było zaplanowane takie pomieszczenie na działalność kulturalną, duże

pomieszczenie na czwartym, czy piątym piętrze w budynku na Lwowskiej 2. W tym pomieszczeniu są organizowane wybory, to znaczy jest komitet wyborczy. Jest też apteka i jest przychodnia, czyli służba zdrowia. A jeśli chodzi o projekt [osiedla] to mieliśmy tu zaprojektowane i żłobek, i przedszkole, które nadal funkcjonują. To jest w centrum osiedla, przy ulicy Okrzei. Przedszkole jest ładne, a żłobek chyba nawet jest większy niż to przedszkole. To funkcjonowało i funkcjonuje do tej pory. Obok jest jeszcze szkoła. To jest bardzo ładny, duży budynek, mają nowe boisko do tenisa, do piłki. Teraz już jest wszystko takie bardziej unowocześnione, ogrodzone odpowiednio tak, żeby ludziom nie wybijać szyb. Ładna jest ta szkoła. Tak, że tu jest wszystko, jeśli chodzi o infrastrukturę. To było dobrze pomyślane. A jeśli chodzi o rozkład mieszkań to jest jeden budynek, czy dwa, które zostały, powiem to szczerze, zasiedlone z poręczenia Komitetu Wojewódzkiego. W jednym z budynków mieszkał ktoś z władz. Powiedzieli mi pracownicy, że on ma taki przedpokój, że tam można rowerem jeździć. Nie wiem czy to prawda, ale w każdym razie tam na pewno nie było takiej klitki, tylko mieszkanie rozkładowe, gdzie się nie wchodzi do kuchni ani do łazienki przez pokój. Jeden budynek jest przy Dębowskiego 8, a drugi przy Okrzei 2. Nie mówię, że wszystkie mieszkania tam były takie, ale były pionory, które zasiedlał Komitet. Z kolei wiele osób w wieżowcach tak sobie zagospodarowało loggię, że likwidowali ją i o tę loggię powiększyli pokój, ale przez to nie mają już balkonu. No takie to było budownictwo.

## **5. Działalność kulturalna**

Jeśli chodzi o działalność kulturalną, to na początku muszę powiedzieć, że były na to jakieś fundusze, żeby na przykład mieszkanki, głównie mieszkanki mogły się spotkać. Teraz tych funduszy nie ma, ale wtedy były. Była zapraszana pani z [Muzeum] Lubelskiego na zamku, która tam prowadziła działalność kulturalną. Bardzo sympatyczna pani, wiem że ona pracowała na zamku, a tutaj robiła takie pogadanki kulinarne. Było dużo chętnych do słuchania, a oczywiście tam nawet była jakaś kuchnia, więc to co można było przyrządzić tak szybko było przyrządzane. Wiele przepisów stamtąd wykorzystałam. Również była prowadzona taka działalność kulturalna dla, powiedzmy, działaczy. Dla ludzi, którzy pracowali w spółdzielni i w radach osiedlowych, zarząd spółdzielni organizował wyjazdy. Mieliśmy na przykład wyjazdy do Warszawy jako działacze, kilkakrotnie jeździliśmy poza Lublin. Do Warszawy i już nie pamiętam, gdzie jeszcze. To było w ramach jakiegoś funduszu, ale nie wiem skąd były te pieniądze. Poza tym były organizowane różne wystawy, na przykład klub złotego wieku, to taki powiedzmy [klub] seniora, gdzie starsze osoby się spotykały. Było to prowadzone przez osoby zatrudnione przez spółdzielnię, ale również byli tam sprowadzani aktorzy z Teatru Muzycznego z koncertami. To były duże, takie bardzo liczne spotkania. Był na to poświęcony cały parter [budynku] przy ulicy Okrzei, chyba numer 4. Tam ta działalność była bardzo bogata. W tej chwili ten klub, bo to jest klub, nadal działa. To jest Klub Odeon, ale teraz raczej dzieci się

spotykają tam na jakichś [zajęciach]. Jest szkoła tańca, gimnastyka korekcyjna, lekcje gry na pianinie. Ale to pomieszczenie zostało podzielone, część została przejęta przez aptekę, a część, takie niewielkie pomieszczenie, zostało i korzystają z tego dzieci z osiedla. A przecież było tam bardzo dużo wystaw, moja mama z takich wystaw swoich prac, a różne były rodzaje tych prac, przynosiła dyplomy. Od spółdzielni. Taka działalność była, teraz to zamiera, może po prostu już zmienił się świat. Wydaje mi się, że ludzie mają inne zainteresowania, dzieci mają więcej obowiązków, ale to widać, że to się właściwie tak zamyka, świat się zamyka we własnych mieszkaniach.

## **6. Wspomnienie szkoły**

Do szkoły chodziłam już w czasie okupacji. Mieliśmy bardzo ciężkie warunki, bo w czasie nalotu w '9 roku [w szkołę] uderzyła bomba i całe skrzydło budynku szkolnego było zniszczone. Więc uczyliśmy się również i w takim pomieszczeniu po dawnej aptece, i w pomieszczeniu w sali parafialnej przy kościele. To były ciężkie warunki, ale uczyliśmy się, bo przede wszystkim myśmy się chcieli uczyć. Zimno było, nikt nie miał węgla, żeby do pieca przynieść, bardzo często w okresie zimowym w ubraniach siedzieliśmy w klasie. Szkoła podstawowa była siedmioklasowa, ale moje nauczanie było dosyć krótkie, bo poszłam od razu do 2 klasy, [ponieważ] uczyłam się od starszego rodzeństwa i wcześniej umiałam już pisać i czytać. Jeżeli ktoś chciał iść do gimnazjum, to kończył naukę w tak zwanej szkole powszechnej na 6 klasie. 7 Klasa właściwie była takim powtórzeniem, więc jak ktoś już nie chciał się dalej kształcić albo nie mógł, musiał tę 7 klasę skończyć.

## **7. Nauka u Urszulanek**

Ja po zakończeniu klasy 6 poszłam do gimnazjum. To już był okres po wyzwoleniu. Poszłam do gimnazjum prowadzonego przez siostry urszulanki. Szkoła była prywatna. Nie wiem jak moja mama pokonała te wydatki, bo to nie były małe wydatki, a jeszcze miałam starsze rodzeństwo, które też się uczyło i też trzeba było za nie płacić. Tak bardzo chciałam pójść do tej szkoły, bo szła tam moja koleżanka, M. W., z którą byłam zaprzyjaźniona. Do gimnazjum szła również C. B., która mieszkała na Kalinowszczyźnie i moja koleżanka Janka Seroczyńska. One szły do innej szkoły, a ja, ponieważ [Marysia] szła [do Urszulanek] tak chciałam iść z nią razem. Nie wiem, czy ja bym uległa prośbie licząc się z tak dużymi kosztami, ale mama jakoś opanowała tę trudną finansowo sytuację. Poszłyśmy razem z tą moją koleżanką, z tym, że ona chciała się uczyć języka niemieckiego, a ja z kolei chciałam się uczyć języka francuskiego, więc byłyśmy w tej samej szkole, ale już w innych klasach. To była ulica Narutowicza, obok kościoła powiżytkowskiego, vis a vis teatru [Teatru Miejskiego]. Tam była ta szkoła. Wtedy, kiedy ja zaczynałam naukę w gimnazjum obok była szkoła [imienia] Unii Lubelskiej, na ulicy Kapucyńskiej była prywatna szkoła [Wacławy] Arciszowej, a na Podwalu była szkoła prowadzona przez siostry

kanoniczki. Pamiętam to, bo moje koleżanki chodziły również do tych szkół. Jak zaczynaliśmy naukę był problem z książkami, to był okres zaraz po wyzwoleniu, więc program był, przypuszczam, taki jak w okresie przedwojennym. Nauczyciele byli też ci sami. Ci, którzy przeżyli, przetrwali, Ale z książkami był ogromny problem. Pamiętam, że był problem z książkami do języka polskiego, do historii, do geografii i do łaciny, bo ja się w gimnazjum uczyłam łaciny cztery lata. Książki kupowaliśmy na targu. Ludzie sprzedawali książki, które wyrwali z takich miejsc, gdzie Niemcy te książki niszczyli, palili albo były [przeznaczone] na zatracenie. O tym słyszałam z opowiadania, że oni tak wykradali te książki, że tam gdzieś, komuś udało się ocalić jakąś książkę. Najdroższa książka, którą sobie przypominam to była książka „Mówią Wieki” taki był tytuł tej książki. To była historia, może i język polski, ale bardziej historia. Ta książka była bardzo droga. Nie wszyscy mieli książki, ale żeśmy sobie je nawzajem pożyczali. Nie był takiego problemu, że się nie nauczył, bo nie miał książki. To nie były te czasy. Każdy, kto poszedł do gimnazjum to chciał się uczyć. Nie robił nikomu łaski, nie musieli rodzice dawać pieniędzy, bo dostał piątkę. Taka była prawda. Po prostu wszyscy chcieli, łaknęli tej wiedzy. Kiedy trzeba było zdawać tak zwaną małą maturę, stanęliśmy przed problemem. Po czterech latach [nauki] była mała matura. Wiedzieliśmy, że każda matura to są jakieś wytypowane przedmioty, ale ponieważ już władza bardzo starała się te szkoły, które były prowadzone przez zakony likwidować, dokuczać im –taka była prawda, to się odczuwało w wielu sytuacjach –to postanowili, że małą maturę będziemy zdawać ze wszystkich przedmiotów, jakich uczyliśmy się w szkole. Przed zupełnie obcą komisją wyznaczoną przez kuratorium. To byli nauczyciele z innych szkół i oprócz tego ludzie, którzy reprezentowali nową ideologię. To był dla nas ogromny stres, ale nie pamiętam, żeby ktoś nie zdał.

## **9. Szkoła Vetterów i dyrektor Janicki**

Poszłam do szkoły Vetterów. Ona miała różne nazwy –i handlowa, i ekonomiczna. Tam uczyłam się dwa lata. Tu już były klasy koedukacyjne, ale ta szkoła miała bardzo dobrą opinię jeśli chodzi o poziom, o wychowawców, o nauczycieli. Dyrektor szkoły był aniołem. O nim nikt inaczej nie mówił. To był anioł. Dyrektorem był Janicki. Chyba miał na imię Edward. Niewielkiego wzrostu, ale takiego autorytetu to ja nie pamiętam, żeby ktoś w szkole miał, jak miał nasz dyrektor. Dyrektor nas uczył, ale i wychowywał. Czuwał nad szkołą, kiedy były różne prowokacje, bo były już wtedy prowokacje Urzędu Bezpieczeństwa. Potrafił, przepraszam, napyskować takim, którzy przyszli i chcieli, powiedzmy podłożyć szkole świnie. Może powiedziałam to tak bardzo nieelegancko, ale chodziło o to, żeby zrobić jakąś prowokację, żeby [znaleźć powód] i szkole przykręcić śrubę, żeby szkołę może zlikwidować. Więc jak się dyrektor o tym dowiedział, że ktoś przyszedł i gdzieś tam węszy po klasach, po

szkolnych ubikacjach, a u chłopców szczególnie, bo podejrzewali że może być jakaś organizacja, bo były organizacje różne w szkołach –nie wiem, czy w mojej, bo ja do żadnej organizacji nie należałam, to zaprosił ich do gabinetu, a potem dowiedzieliśmy się, że ich zrugął dosłownie. Powiedział, że za bezpieczeństwo odpowiada on. Jeżeli chcą sprawdzać szkołę to on nikogo nie będzie uprzedzał, ale pójdzie razem z nimi, a nie żeby ktoś chodził sam, bo wiedział, że niebezpieczeństwo czyhało z każdej strony. W klasie maturalnej organizowaliśmy akademie, musieliśmy uczestniczyć we wszystkich pochodach, pierwszomajowych zwłaszcza. Zawsze był jakiś transparent i zawsze były okolicznościowe gazetki. Z okazji rocznicy śmierci, czy urodzin Fryderyka Chopina, nauczycielka języka francuskiego zadała nam jako zadanie lekcyjne zrobić gazetkę i mnie wytypowała, że mam napisać o Chopinie. Więc ja napisałam o Chopinie tak, jak mogła to zrobić uczennica, która ma 16 lat. A nauczycielka powiedziała tak: „Spodziewałam się po tobie, że napiszesz coś o muzyce Chopina, na przykład, że jego muzyka [brzmiała tak], jakby ktoś wysypał perły na kryształowy blat” Do dzisiaj to pamiętam. Ile razy słyszę muzykę Chopina, to widzę madame Skrócińską, która mówiła do mnie, że tak powinnam opisać tę muzykę, jakby kto perły wyrzucał na kryształowy blat. A jak ja mogłam to sobie wyobrazić, jak ja miałam 16 lat i tej muzyki wiele nie słyszałam? Ale to był wyjątek kiedy były gazetki ścienne o takiej tematyce właśnie.

## **10. Zajęcia Służba Polsce**

W szkole była tak zwana Służba Polsce. To nie był przedmiot, ale to były [zajęcia], w których wszyscy musieliśmy uczestniczyć. To było szkolenie, to było dosłownie szkolenie, którego tematem mogła być na przykład historia WKP(b). A co to jest WKP(b)? Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia Bolszewików. Więc uczyliśmy się wtedy na tych zajęciach takich właśnie przedmiotów. Był jeszcze przedmiot dialektyka. Teraz, jak sobie pomyślę, o co chodziło w tej dialektyce, no to było coś takiego, marksistowsko –nie wiem, coś abstrakcyjnego. Ale oprócz tego, że to nazywało się Służba Polsce, to jeszcze mieliśmy zajęcia ze strzelania. Musieliśmy nauczyć się strzelać. Oczywiście poszliśmy gdzieś na strzelnicę, nie wiem, gdzie była ta strzelnica, nie kojarzę w tej chwili, ale mnie się wydaje, że gdzieś koło Dąbrowy, że to był jakiś las. Na leżąc musieliśmy wycelować do tarczy, a instruktor patrzył w takie urządzenie, które się nakładało na lufę tego karabinu. Oczywiście naboje były ślepe, oczywiście [karabiny] troszkę odrzucały i [uderzały] tą kolbą w ramię, ale w pewnym momencie instruktor mnie pyta, gdzie ja celuję, czy ja chociaż widzę tarczę. To był śmiech, to pamiętam jak on mnie zapytał czy ja widzę chociaż tarczę. Ale od tej pory wiem co to jest muszka, co to jest szczerbinka i język postawy, wiem jak to się nazywa fachowo. Nie wiem, ile razy myśmy tam strzelali, ale strzelaliśmy wszyscy. Dziewczyny i chłopcy, wszyscy musieli się nauczyć strzelać. A jeszcze do tego była piosenka, przypominałam ją sobie, brzmiała tak: „SP, SP znów się pieśń na ustach rwie, młodzież i SP. Służba Polsce, święty sztandar nasz, celem dobro ludu i



nad Odrą wiernie trzymać straż, pracą dokonać cudu” Taka była piosenka. To bym hymn SP, z tego żeśmy zdawali egzamin i potem dostawaliśmy świadectwo, że zaliczyliśmy SP. To już było w klasach licealnych. Niesamowite było to [szkolenie] praktyczno –ideologiczne.

### **11. Związek Młodzieży Polskiej**

Była taka organizacja młodzieżowa ZMP [Związek Młodzieży Polskiej]. Ja tam akurat nie należałam, ale organizacja taka była. [Kiedyś], to chyba była jakaś akademія, jeden z aktywistów, zupełnie jak Gomułka, walił pięścią w tę trybunę. Nie wiadomo dlaczego, dodawał sobie chyba animuszu. Jego nazwisko jest w tej chwili w takim wydawnictwie IPN-u „Bezpieka Lubelska” Tak, że daleko zaszedł ideologicznie. Jak żeśmy zdawali maturę, to trzeba było już zgłaszać, kto ma ochotę iść na studia. Ja miałam ochotę, ale to nie wystarczyło, musiało być poświadczenie przez organizację ZMP. Musiałam mieć opinię. Muszę powiedzieć, że nie byłam w tej organizacji, ale zapewniali mnie, że jeżeli pójdę na studia to dostanę od nich to polecenie, poparcie –tak bym to nazwała. To było wymagane. Ale ja na studia nie poszłam, bo po prostu miałam już inne warunki rodzinne. Być może nie miałam wielkiego zaparcia, ale też ta sytuacja w rodzinie, w domu rodzinnym była [trudna]. Bardzo mi się handel zagraniczny podobał, bardzo mnie przekonywało, że tam się nauczę wielu języków, ale wtedy to nie było tak, że wyjedzie się na studia, że będzie internat, że będę miała jakieś warunki, że będę miała stypendium. To nie były jeszcze te czasy.

### **12. Nakazy pracy**

Muszę powiedzieć o takiej sytuacji –mnie to akurat nie obejmowało, ale chyba ci, którzy skończyli albo studia, albo maturę rok przede mną, dostawali tak zwane nakazy pracy. I to nie było tak, że dostanie się [nakaz pracy] w Lublinie, bo moja znajoma, dawna sąsiadka dostała taki nakaz pracy, że musiała jechać do –powszechnie jeszcze mówiło się –Prus Wschodnich, czyli na Mazury, więc to było bardzo daleko. Nie było też takich warunków, żeby tam dobrze mieszkać, żeby zarobić tyle, żeby się utrzymać. A nakazy były i obowiązywały. Ale mnie już nie. Właśnie nie wiem, od kiedy nie było tych nakazów, ale wielu moich znajomych jeszcze je otrzymało i rozsyłali ich po takich zakątkach, gdzie musieli uczyć. Zatrudniali ich tam jako nauczycieli, bo [brakowało] nauczycieli, wielu zginęło w czasie wojny, to trzeba powiedzieć. Oczywiście nie szli kopać rowów, ale musieli wykonywać różne prace, również nauczycielskie, wiem o tym. Te nakazy były nieodwołalne, nie można było powiedzieć, że się nie chce. Nie było żadnej dyskusji. Nie słyszałam o takich sytuacjach [żeby ktoś się nie zastosował do nakazu pracy], ale to było w ogóle niewyobrażalne, żeby ktoś nie chciał. Nie wiem co by się stało, pewnie by poszedł na Zieloną [albo] i na Krótką. Na Zielonej bardzo długo był komisariat, a na Krótkiej były piwnice Urzędu Bezpieczeństwa. Ale nie słyszałam, żeby gdzieś, kogoś [zatrzymano], po prostu nie słyszałam, żeby ktoś nie wykonał

tego polecenia. Oczywiście starali się, żeby po roku [wrócić]. I wracali do swoich, jak to się mówi, gniazd, do swojego miasta, do Lublina. Wracali. Ale przynajmniej ten rok musieli tam być. Starali się, żeby jednak wrócić, bo tam to była wegetacja. To nie było tak jak teraz, że pojechał [do pracy], ma pieniądze, wynajmuje mieszkanie, nie. To nie było tak wesoło.

### 13. Praca w Centrali Tekstylnej

Oczywiście trafiłam [do pracy] do administracji. Były takie sytuacje i to był problem, że nie było przygotowanych pracowników, więc po tak zwanej małej maturze było dużo ludzi, którzy szli do administracji, do biura. Ja nie miałam możliwości gdzieś się zaczepić, zacząć pracę, ale znajomy mojej siostry pracował w tak zwanym Wydziale Zatrudnienia, bo był taki wydział. Mówię, że ja chciałabym iść do pracy, a on zaraz zrobił rozeznanie i od razu mnie zawiadomił, że mam się tam i tam zgłosić, więc to nie było jakieś takie długie szukanie. Zaczęłam pracę w tak zwanej Centrali Tekstylnej. Centrala Tekstylna miała swoje oddziały, oddział wełny, bawełny, jedwabiu, po prostu była taka segregacja [materiałów] z całej Polski. Szczególnie z województwa łódzkiego, ze Zduńskiej Woli, stamtąd były sprowadzane towary. Magazyny podległe temu przedsiębiorstwu były bardzo duże, ale ciekawe, że ja swoje biuro, swoją pracę biurową rozpoczęłam tu przy Krakowskim Przedmieściu, róg Świętoduskiej, tam gdzie na początku wieku mój pradziadek, który był stolarzem, członkiem cechu, miał swój sklep meblowy. Na parterze był ten sklep meblowy, a myśmy mieli biuro na piętrze. Dopiero później dowiedziałam się, potem mi powiedzieli, że to właśnie tak było. Pracowałam w Centrali Tekstylnej, było tam kilka pań, które miały doświadczenie. Ja byłam w tym zespole najmłodsza, a one za sobą miały już pracę przed wojną, może i w czasie okupacji, bo gdzieś przecież ludzie pracowali też w czasie okupacji. Miałam tam i życzliwych ludzi, którzy pomogli mi znaleźć następną pracę, jak szef księgowości, bo ja pracowałam w księgowości. Ale jakim sprzętem myśmy tam pracowali! To są rzeczy archaiczne w porównaniu z tym [co jest teraz]. Więc ja pracowałam w księgowości i zaczynało się od stanowiska kontysty. Kontysta księgował na kontach. Oczywiście to się księgowowało przez kalkę na tak zwanych dziennikach, na dziennik nakładało się konta i księgowowało przez kalkę. I to wszystko było [wprowadzane] ręcznie. Jeśli chodzi o liczenie, to był sumator, taki jak się widzi w filmach o Dzikim Zachodzie –w sklepach było takie [urządzenie], ruszało się taką korbą, wyrzucało się cyfry i to był sumator. Oprócz tego był tak zwany arytmometr, który spełniał funkcje mnożenia i dzielenia, więc jak było trzeba wyliczyć jakiś procent, to na tym arytmometrze. No i wszechobecne liczydła. Na liczydłach ja pracowałam przez wiele lat, a umiałam [liczyć] na liczydłach, bo w szkole handlowej się nauczyłam. I nawet robiłam to biegle. Jak mieliśmy praktykę ze szkoły, bo mieliśmy takie praktyki zawodowe, to ja byłam na praktyce w zakładach mięsnych. I trzeba było coś tam zliczyć. Akurat miałam praktykę w dziale statystyki, pamiętam, mówię: „To ja to policzę na liczydłach” Popatrzyli na mnie troszeczkę tak

z niedowierzaniem czy ja nie plotę czegoś od rzeczy. Ja mówię, że umiem liczyć, mogę policzyć. I rzeczywiście policzyłam, okazało się, że dobrze, więc im zaimponowałam. Liczydła były w powszechnym użytku i musiała być odpowiednia armia ludzi, którzy [się tym zajmowali], chociaż wydaje mi się, wtedy nie było jeszcze takiego przerostu administracyjnego.

#### **14. Słyszałam, że wyjechał, jak wielu ludzi**

Moim szefem, kierownikiem [w Centrali Tekstylnej] był Żyd [red. Nisebaum]. Zresztą później, w kolejnych przedsiębiorstwach również. Na przykład mój szef w kadrach przyszedł razem z dywizją Tadeusza Kościuszki, a mówił, że był w głębi Związku Radzieckiego, aż w Ałma-Acie. Jak potem zbierali Polaków, to oni wyszli z armią. Jest też taka wersja, że oni uciekali ze Związku Radzieckiego, bo tam zaczęli ich, Żydów, już prześladować, więc wielu Żydów uciekło razem z tym wojskiem. Pracował ze mną taki starszy pan, to znaczy dla mnie wtedy to był starszy pan, który był prawdziwym artystą. Ponieważ to był okres Wielkanocy, przyniósł mi w prezencie piękną pisankę. Pamiętam, że ta pisanka to było arcydzieło. Na jajku był wydrapany zajaczek, na łapce miał koszyczek i w tym koszyczku były pisanki.

[Szef kadr] nie miał jakiegoś talentu [do zarządzania ludźmi], ci ludzie w ogóle nie byli zawodowo przygotowani do tego. Ale wiedział, że w każdym dziale jest ktoś, kto się zna na robocie i będzie tę robotę wykonywał, a on po prostu czuwał ideologicznie nad całym zespołem. Raczej takie [miał zadanie]. Jakies polecenia wydawał, ale wiadomo było, że jest ktoś inny, mądry, fachowy. A w takich przedsiębiorstwach musiał być ktoś, kto zapewniał ideologiczną [opiekę]. Później przenieśli nas na ulicę Garbarską, nie wiem czy to było w ramach łączenia administracji, i tam spotkałam kierownika działu ekonomicznego, który już się na tym znał. Był taki słusznej postury, nazywał się pan Nisenbaum, pamiętam do dziś. To był człowiek wrażliwy na warunki pracy. Kiedy było zebranie –były takie narady robocze, zebranie pracownicze, to mówił, gdzie trzeba coś poprawić, że tu ludzie źle mają, że tam gdzieś zacieka coś, że jest zimno. On na to reagował. Wtedy ja byłam dziewczynką jeszcze, dla żartów chodziłam do niego, bo wiedziałam, że on ma złoty zegarek, taki kieszonkowy. To też było arcydzieło. Był w złotej kopercie, a na niej nie to, że było coś wygrawerowane, tylko była jakby róża rzeźbiona położona na tę kopertę. Ja do niego przychodziłam, a on wiedział po co. Przychodziłam i [pytałam]: „Panie Nisenbaum, która jest godzina” A on już się wtedy śmiał. Słyszałam, że potem wyjechał, tak jak wyjeżdżało wielu ludzi. Wyjechał do Kanady, pracował tam fizycznie. Ktoś mówił, że wrócił. Ktoś ze starszych pracowników, kiedy on jeszcze pracował z nami, opowiadał mi, że Niemcy wymordowali mu całą rodzinę. Że jego żona zginęła i synowie, ale z jego zachowania, z jego wypowiedzi nie było tego widać. Podobno jak wrócił z Kanady to założył jakąś fundację, która miała na pewno na celu upamiętnienie tego. Ktoś mi to opowiadał, bo ja już go nie spotkałam. To był taki porządny Żyd, tak bym powiedziała.

## **15. Czyny społeczne – konkurencja dla niedzielnej mszy**

Był okres kiedy wszyscy musieliśmy brać udział i w pochodach tych pierwszomajowych, i w czynach społecznych. Wykonywaliśmy różne prace, przeważnie fizyczne. Czyny społeczne były różnie organizowane, ale były również organizowane w niedziele. Trzeba było w niedziele gdzieś pojechać, a czasem wozili nas daleko, i wykonywać jakąś pracę. Chodziło pewnie też i o to, żeby ludzi odciągnąć od kościoła. Ale kościół poszedł po rozum do głowy i chyba od tamtej pory zaczął organizować msze wieczorne. Więc to tak było, że my wysiadaliśmy z tych samochodów ciężarowych i po prostu już tak nie przebierając się, szliśmy do kościołów na msze. Szczególnie katedra słynęła z tego i wiadomo było, że w katedrze będzie [wieczorna] msza. Każdy miał takie [poczucie] obowiązku, teraz to już jest tak luźniej z religią, ale wtedy każdy wiedział, że musi iść do kościoła. Więc wracaliśmy wieczorem utrudzeni, czasem ubrudzeni, ale szliśmy do kościoła. I myślę, że to właśnie chyba od tamtej pory są te wieczorne msze, bo kiedyś nie było zwyczaju, żeby była msza wieczorna. Była rano i każdy szedł rano, i na tym koniec. Ale to chyba był taki okres nasilony tych czynów społecznych, tej więzi robotniczo – chłopskiej. Musieliśmy wziąć łopatę, musieliśmy wziąć grabie. Kopaliśmy też kanał Wieprz – Krzna. Zdarzała się i taka organizacja, że jak żeśmy splantowali – to tak się mówiło – teren pod trawnik, to za dwa dni przyszli, przekopali rowy, wysadzili wszystko. Zdarzało się i tak, ale nie wszędzie tak było.

## **16. Prace społeczne**

Kiedyś pojechaliśmy do jakiegoś PGR-u, z tym, że i nocowaliśmy tam. Wszyscy byli wtedy dosyć młodzi, nie wiem co to było, skąd, ale trzeba było tam pomagać przy żniwach. Ja akurat nie wiedziałam jak zrobić te [powrósła], bo to jest sztuka. Może już teraz nikt nie wiąże snopków, ale uwiązać powrósło i zawiązać snopek to była sztuka. Ja tam dopiero wtedy to zobaczyłam, chociaż mieszkając na ulicy Wiejskiej mieliśmy gospodarzy po drugiej stronie, ale jakoś tak tym się nie interesowałam. Zobaczyłam, jak oni to wiązali. Bo to, co myśmy związali to się nam rozsypywało, to była syzyfowa praca, ale trzeba było jakoś te snopki [zrobić]. W końcu żeśmy je poopierali, żeby się nie przewróciły – przy nas przynajmniej. Tak wyglądała ta praca, ta więź robotniczo – chłopska. Mówimy do tego kierownika – tam szefami tego PGR-u byli młodzi ludzie – że wieczorem tak, żeby odreagować, zrobimy sobie tańce. Zapraszamy pana kierownika do nas. Gdzie to było? W jakieś świetlicy pewnie. Jeden miał organki, drugi grał na grzebieniu, a my umyliśmy się w rzece, bo nie było innych warunków i przyszliśmy na te tańce. Oczywiście tańczyliśmy, bo po prostu chcieliśmy się odreagować po takiej pracy.

## **17. Praca w Wojskowej Centrali Handlowej**

Zaczęłam pracować w Wojskowej Centrali Handlowej. I tam przepracowałam 30 lat. W jednej firmie. Zatrudnili mnie, bo właśnie jakaś pani szła na urlop macierzyński. Powiedzieli, że zatrudniają mnie na razie na okres zastępstwa. A już po zastępstwie

zostałam na tyle lat i tam rzeczywiście pracowałam w księgowości. Ale to też był okres nasilenia takiej presji ideologicznej. Wtedy jeszcze pracowało się w soboty i na przykład w soboty mieliśmy tak zwaną prasówkę. Prasówka dotyczyła pracowników administracyjnych. Na czym polegała? Mimo, że na przestrzeni tych lat mieliśmy i transport, i sklepy to [właśnie] pracownicy administracji byli wyznaczani –nie wiem przez kogo –i musieli przygotować przegląd prasy z całego tygodnia. Ten ktoś nie musiał mówić od siebie, ani komentować, bo na takie rzeczy nikt sobie nie pozwalał, tylko przyniósł kilka wycinków z gazet, przeważnie z Trybuny Ludu, bo to była taka już bardzo ideologiczna gazeta, i przeczytał. To trwało może pół godziny i było zawsze na początku pracy. A potem rozchodziliśmy się i każdy już pracował w swoim dziale. Muszę też powiedzieć, że była tak zwana kasa zapomogowo –pożyczkowa, która udzielała w razie potrzeby pożyczek. Z tym, że każdy z nas miał potrącaną [z wynagrodzenia] ustaloną kwotę na ten wkład. Była [prowadzona] ewidencja, każdy wiedział ile ma w każdej chwili, bo każdy miał swoją tak zwaną kartotekę płac i wiedział, ile ma pieniędzy. I oczywiście to Rada Zakładowa trzymała nad tym pieczę. Z zakładu pracy były organizowane również kolonie dla dzieci, w różnych miejscach. Przypominam sobie nawet taką sytuację, że trzeba było dzieci zawieźć do Bolesławca, to jest na Dolnym Śląsku, przy samej granicy. Wypadło na mnie, taki już był mój los, że ja zawsze w jakichś akcjach społecznych uczestniczyłam i przez wiele lat byłam członkiem Rady Zakładowej. Był nawet taki okres kiedy przed jedną kadencją byłam już na tak zwanym etacie, ale to mi się nie podobało, wolałam pracę zawodową. Z tym, że muszę powiedzieć, że nie spotkałam się z tym, żeby nas ktoś jako członków rady lekceważył, czy nie liczył się z naszym zdaniem. Tego nie mogę powiedzieć. Przy każdym wydarzeniu dyrektor musiał mieć opinię Rady Zakładowej. Na przykład, kto ma pojechać na kolonie, jakie dzieci, to już była sprawa Rady Zakładowej. Były organizowane akademie, oczywiście nawet z jakimś programem artystycznym wykonywanym przez samych pracowników –ktoś tam coś powiedział, ktoś coś zaśpiewał. Było i tak, że po takich akademiach były również organizowane tańce w świetlicy. Ale wtedy to już to nie była sama administracja, ale przychodzili pracownicy sklepów, pracownicy transportu. Cała świetlica była pełna. Były również organizowane narady, tak zwane narady produkcyjne. Centrala Wojskowa mieściła się na Nowym Świecie. Tam mieliśmy swoją dyrekcję, mieliśmy swój budynek. Tam mieliśmy też swoje magazyny. Musieliśmy zaopatrywać wojsko, to znaczy kantyny, ale to nie było przedsiębiorstwo stricte wojskowe, to była agenda Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Tak, że raczej działaliśmy na prawach cywilnych, z tym, że mieliśmy szefów oficerów. Był taki bardzo zaprzyjaźniony pułkownik. Mówił, że po wojnie znane było powiedzenie: Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera. I rzeczywiście takie było wojsko.

## **18. Narady produkcyjne, pochody pierwszomajowe**

Narady produkcyjne. Mnie się wydaje, że one nie były wcale głupie. Już później,

kiedy pracowałam w [dziale] ekonomicznym, przygotowywaliśmy taką informację dla wszystkich pracowników zatrudnionych w Lublinie. Mieliśmy swoje oddziały w kilku województwach, to tam też jechaliśmy, informowaliśmy [pracowników] o tym, jakie są wyniki przedsiębiorstwa, kto jakie ma wyniki, kto nie wykonał planu, bo każdy sklep, każda placówka musiała mieć swój plan. I te plany były w większości wykonywane. Była również sprawa rotacji, żeby nie było jakichś zaległych towarów w sklepach, żeby był ciągły obrót, żeby to można było wszystko wyliczyć na podstawie takich danych ekonomicznych. Taka informacja była [przygotowywana] dla pracowników. Nie mogę powiedzieć, jak często to było, ale na pewno częściej, niż raz na rok. Te narady produkcyjne, odprawy chyba były kwartalne. Narady produkcyjne, tak to się nazywało, chociaż produkcji u nas nie było. Owszem, mieliśmy również zakłady krawieckie, ale to były takie rzeczy szczątkowe, głównie to jednak był handel. Wtedy były przecież organizowane i gazetki i pochody pierwszomajowe, w których musieliśmy uczestniczyć. Muszę powiedzieć, jak to było zorganizowane. Były okresy kiedy na przykład musieliśmy udawać grupę sportowców. Przynieśli nam takie tuniki białe, to było [uszyte] z jakiejś tkaniny błyszczącej, dali nam jakiś sprzęt w postaci kółek i myśmy szli jako grupa sportowców. Ale te pochody były straszną udręką. Trybuna była zwykle przy poczcie na Krakowskim Przedmieściu i trzeba było przed tą trybuną przejść, a myśmy mieli zbiórki na Dziesiątej, na ulicy Kunickiego. Zakłady [pracy] ustawiane były w kolumny, a przecież tych zakładów pracy wtedy była cała masa, były uczelnie, które również szły, i szkoły. Nie pamiętam, czy to tylko starsze klasy szły na pochód, ale na pewno szły, bo ja w liceum uczestniczyłam w takich pochodach. Nie było mowy, żeby ktoś nie chciał iść na ten pochód. Trzeba było, to był obowiązek. Na tej trybunie ustawieni byli oczywiście wszyscy [działacze] z Komitetu Wojewódzkiego, ale zanim myśmy tam przeszli, powiedzmy o godzinie dwunastej, to myśmy na Kunickiego stali dwie, trzy godziny zanim się cały ten szyk ustawił. Więc, jak myśmy tam już doszli to naprawdę, myślę, że starsi byli bardzo zmęczeni. Tak to wyglądało.

### **19. Codziennosc w PRL-u**

To była taka szarość. Na przykład jeśli chodzi o kupowanie, to na początku mieliśmy [z zakładu pracy] talony na materiały tekstylne. Był taki okres, kiedy kupowaliśmy radia, takie tranzystorki małe, które były i na baterie, i można było [podłączyć] je do sieci. Pamiętam, było radyjko Lena, bardzo długo mi służyło zresztą. Była też taka [grupowa] umowa z bankiem, że iluś pracowników kupowało coś na raty, ale umowa była jedna. Przypuszczam, że myśmy wpłacali te pieniądze do PKO, ale od wszystkich trzeba było najpierw je zebrać. Bo to wtedy nie było tak, że się szło i kupowało, nie. Nie można było kupić, a może i ludzi nie było stać. A jak ktoś opowiadał, że na zachodzie samochody stoją na wystawie i można je kupić, to nikt w to nie wierzył. Dla dzieci organizowaliśmy imprezy mikołajowe. Były paczki ze słodyczami. Nie daliśmy się złamać, żeby powiedzieć, że to jest Dziadek Mróz. Nie, był Mikołaj. Nie mówiło się święty, ale dzieci swoje wiedziały, w domu każdy wiedział,

że jest święty Mikołaj. Organizowaliśmy imprezy dla dzieci w kasynie, był Mikołaj w przebraniu. Dzieci na to czekały, to nie były żadne ideologiczne imprezy, ale takie radosne, dla dzieci. Urządzaliśmy też święto kobiet. Potem były takie komentarze, że te prezenty na święto kobiet, to były rajstopy. To prawda, że myśmy kupowali rajstopy i każda dostała po goździku. Ale z tego co ja pamiętam, to był taki okres, kiedy się nosiło pończochy i rajstopy do repasacji. Co to jest repasacja? W sklepach tekstylnych były repasaczki. Po prostu gdzieś tam w kąciku miały zorganizowane takie miejsce pracy z lampką taką jak nocna. I były to panie, do których się nosiło pończochy do repasacji. Jak poleciało oczko czy dwa, to te panie miały taką igłę elektryczną i te pończochy reperowały. Tak było. A kto by dzisiaj reperował sobie oczka.

## **20. Prenumerata pism radzieckich**

Tak, w tym pierwszym przedsiębiorstwie, w był obowiązkowy kolportaż pism radzieckich. Była „Prawda” którą też trzeba było kupować, znaczy nie wszyscy pracownicy musieli kupować, ale ta prenumerata była obowiązkowa dla przedsiębiorstwa. I była prenumerata czasopism, oczywiście w języku rosyjskim „Kołchoznica” i „Robotnica” To były takie dwa różne pisma, oczywiście po rosyjsku. „Kołchoznica” była o tematyce rolniczej, oczywiście o kołchozach, bo przecież tam nic innego nie było. I była ta „Robotnica” o fabrykach. Przypominam sobie, że w tej „Robotnicy” bo ja kilka egzemplarzy też kupiłam, były na przykład pokazywane jakieś wykroje. Nie wiem czego [dotyczyły] te wykroje, czy jakichś sukienek, czy jakichś fartuszków, czy może tam jakieś były hafty. Ale do dzisiaj pamiętam –pokazywano jak samej sobie zrobić fryzurę, jak samej się uczesać. Tak doradzali widocznie tym kobietom, podpowiadali. [Prenumerata] to chyba był obowiązek, bo przecież na ochotnika bym tego nie kupowała, nie znałam rosyjskiego. W gimnazjum uczyłam się języka francuskiego przez cztery lata i już nawet mogłam się porozumieć. W liceum trzeba było zacząć uczyć się drugiego języka. Myślę sobie –wezmę angielski, jest ciekawy. Więc w pierwszej klasie liceum uczyłam się francuskiego i angielskiego. Potem przyszło polecenie, że wszyscy muszą się uczyć języka rosyjskiego. Nie mogłam zrezygnować z francuskiego, którego się uczyłam już pięć lat, więc dałam sobie spokój z angielskim, zaczęłam uczyć się tego języka rosyjskiego. Rosyjskiego uczył nas pop z tutejszej cerkwi, autentycznie. I zawsze nas straszył, że na 99,9 procenta będzie matura z rosyjskiego. A ile myśmy się mogli nauczyć? To jest język, którym w mowie może jest łatwiej się porozumieć, ale pisanie jest bardzo trudne. Ale uczyliśmy się i nawet jakoś tam szło.

## **21. Wycieczki, nawet zagraniczne**

Później miałam okazję wyjeżdżać z moim przedsiębiorstwem na różne wycieczki, zagraniczne nawet. Ale kierunek to były zawsze kraje demokracji ludowej. Nikt z nas nie mógł wyjechać bez zgody i zawiadomienia jednostki nadrzędnej, jak to się

mówiło, czyli centrali w Warszawie. Ale, że ja zwykle jeżeli jechałam czy to do Rosji, czy do Bułgarii, to oczywiście była zgoda. Wycieczki, które były osiągalne dla takich szeregowych pracowników jak ja, miały też przystępny koszt. Ale na przykład te, które organizowało przedsiębiorstwo Orbis, były ekskluzywne i bardzo drogie. Na przykład Egipt dla mnie był nieosiągalny, a to było bardzo modne. Z tego co pamiętam to Egipt kosztował nie jedną, ale chyba kilka moich pensji. To była droga wycieczka. No oczywiście na zachód nikt z nas wyjechać nie mógł, znaczy do krajów kapitalistycznych.

## **22. Zaopatrzenie, czyli będzie, co rzuca.**

Ostatnie lata, kiedy były kartki to było jedno umęczenie, szczególnie, że ja byłam w tym przedsiębiorstwie handlowym. Wszyscy wszystko kupowali na kartki, więc po pierwsze te sprzedawczynie miały ogromne arkusze –osobno cukier, osobno jakieś wędliny, osobno mięso, osobno coś tam jeszcze. Różne były rodzaje były tych kartek, inne były kartki dla dzieci. Jakie one były udręczone w tych sklepach! I te dziewczyny w [dziale] handlowym, bo całe te arkusze potem przychodziły do biura. Ja nie wiem czy to się wszystko zgadzało. To się raczej nie mogło zgadzać, bo przecież to był obłąd. W sklepie też nikt nie dopilnował tego kto tam co sprzedawał. Ale trzeba było tych ludzi umordować tymi kartkami. I te kolejki. Dzisiaj będzie cukier, to tłum ludzi [stoi] przed naszym sklepem, bo będzie cukier. W drugim sklepie stoją ludzie, pytają co będzie. Nie wiemy, co rzuca. Więc jak ktoś doszedł [do lady] to, choć niepotrzebne mu były buty, to je kupił, bo wiedział, że je odsprzeda, bo ktoś tam będzie tych butów potrzebował. Więc ludzie kupowali to, co rzucili, bo to nie było żadnej sprzedaży. Miałam taką sytuację, był okres świąteczny, Bożego Narodzenia, więc każdy chce kupić ryby, każdy tego śledzia chciał. Śledzie sprowadzali aż ze Szczecina w oryginalnych beczkach. Idę do koleżanki, ponieważ jestem solenizantką grudniową, więc mówię do niej: „Ewka, załatw mi kilogram śledzi” a ona mówi: „Pani Wiesiu, jak Boga kocham, nie mogę, bo jak rozpakuję beczkę to pracę stracę. Tak wyglądała sytuacja. Takie były ciężkie warunki. Takie było umęczenie. Potem, kiedy już nastąpiły te przemiany, to człowiek był w szoku, że coś już nie jest problemem. Wcześniej, jak mogłam kupić papier toaletowy i ten papier toaletowy przyniosłam, tak jak różaniec nanizany na sznurku, to się dzieliłam z rodziną, bo w sklepie nie można było tego kupić. Więc jak już uruchomili produkcję i można kupić papier toaletowy, to był szok.

## **23. Ludzie się nie dawali tłamsić**

Ale ludzie się nie dawali tak tłamsić. Na przykład u nas w dzielnicy bardzo aktywny był kościół salezjanów. Organizował różne przedstawienia, w których uczestniczyli [mieszkańcy]. Był ksiądz Stachowicz, który się zajmował harcerstwem. Kiedy Niemcy wkroczyli to on był pierwszym, który został aresztowany. Był w obozie w Dachau, bo tam przeważnie księży lokowali. Była taka wersja, że ksiądz przeżył ten obóz. Tak



mieszkańcy mówili, ale ja czytałam wspomnienia Melchiora Wankowicza, który opowiadał, że jechał przez całe Stany Zjednoczone, przejeżdżał przez jakiś południowy stan i wstąpił do przemiętego księdza Stachowicza. Więc myślę sobie, że może to właśnie on tam był, bo nie wrócił tu do Lublina ani do Polski. A tutaj księża salezjanie organizowali młodzież, organizowali przedstawienia. Wszyscy się organizowali, cała Kalinowszczyzna od Wiejskiej aż po, jak to się mówiło, drugą Kalinę, aż po salezjanów. [Odbywało się to] w tak zwanej sali widowiskowej. Nasza mama szyła stroje dla chłopców [na przedstawienia], organizowaliśmy to tak, żeby oni fajnie wyglądali. Był spęd ludzi z całego miasta, ludzie tutaj przychodzili. I to trwało przez bardzo długi okres. Ta działalność salezjanów tuż po wojnie skupiała się raczej na tej tematyce religijnej i to już tak długo to nie trwało, bo władze komunistyczne zabroniły tej działalności. Już ona była tak nie po linii i nie na bazie, tak się mówiło wtedy, jak coś nie było tak ideologicznie [poprawne]. Potem już po wojnie im [tę salę] zabrali i przez bardzo wiele lat w tym pomieszczeniu były magazyny. Dopiero lata '0, to chyba był ten okres, kiedy już można było rozmawiać na ten temat i czegoś się domagać.

#### **24. Kino, teatr –słowem: rozrywka**

W Lublinie było kino, nie pamiętam jak ono się nazywało, ale chyba Corso. Spadła tam bomba i było bardzo zniszczone. Zostały dwa kina. Jedno na Starym Mieście, nazywało się później Staromiejskie, a przed wojną, w bardzo odległym czasie, kiedy moja babcia jeszcze była młoda to tam był teatr. Babcia opowiadała, że chodziła do tego teatru. Ale była też taka atrakcja, że były kina objazdowe i czasem się zdarzało, że pokazywali film przedwojenny, z Dodkiem na przykład. Ale to raczej było marzenie, głównie były filmy radzieckie. Przy ulicy Hipotecznej było tak zwane kino nocne. Tam na ścianie wisiał biały ekran, biała płachta i w nocy wyświetlali filmy. To kino nocne funkcjonowało w okresie letnim i miało duże powodzenie, ponieważ było ciepło, można sobie było na świeżym powietrzu obejrzeć film. To było coś atrakcyjnego, to była jakaś nowość, bo takich filmów, takich kin nie było [wiele]. Bardzo dużo było w kinach filmów radzieckich i te filmy radzieckie były kolorowe. Pamiętam film „Świat się śmieje” byłem na nim. Pięknie śpiewali. Ale była taka scena –to było jakieś przyjęcie, oczywiście w kołchozie, wszyscy śpiewali, wszyscy byli szczęśliwi, wszyscy budowali Związek Radziecki i wszyscy śpiewali o Stalinie. I był taki moment, to chyba było na tym filmie, że wypadły skądś świny i zaczęły biegać po stole. Ludzie się śmiali, a ja przyszedłam do domu i mówię, że nie wiem co to był za film, ale mnie się nie podobał, bo świny biegały po stole. Wiem, że taka była moja reakcja. Bajki były ładne i miały zawsze jakiś morał. To trzeba im przyznać, że tam nie było takiego przeładowania ideologicznego w tych bajkach dla dzieci. I chętnie rodzice te filmy z dziećmi oglądali, chętnie szli do kina. Ale najładniejszy film, który ja pamiętam to był film radziecki „Lecą żurawie” Pamiętam aktorkę, która tam grała, to była Tatiana Samojłowa. Nie pamiętam [głównego] bohatera, ale to był film z klasą.

To był piękny film. Oczywiście innych filmów zagranicznych nikt nam nie pokazywał. Później już, jak był okres takiej odwilży to były filmy amerykańskie w rodzaju „Bonanza” Teraz się zastanawiam co nas w nich tak bawiło. Owszem, zawsze ten dobry zwyciężał, ale to nie były takie filmy bardzo psychologiczne. Wszystkie te filmy radzieckie, które nam tutaj serwowano to miały treść żadną, ale muzyka była piękna i piękne wykonanie. Tam u nich aktorki były odznaczone [tytułem] Bohatera Związku Radzieckiego. Nawet słynne śpiewaczki były Bohaterami Związku Radzieckiego. Przyjeżdżał do Lublina, pewnie więcej jak jeden raz, zespół pieśni i tańca Związku Radzieckiego. Ale to była klasa, jak oni pięknie śpiewali! Te frontowe piosenki, które również myśmy śpiewali na tych akademiach, które organizowaliśmy. One były ładne, na przykład taki walc „W przyfrontowym lesie”[własc. „W lesie przyfrontowym”. To były ładne melodie. I wiele było takich radzieckich piosenek tłumaczonych na polski, które były dosyć popularnie śpiewane. To był zespół wojskowy, występowali w mundurach, to była klasa! To była rzeczywiście klasa. Pięknie śpiewali. Oczywiście wszystko to były radzieckie [piosenki]. Było ich tam, ja wiem, z osiemdziesięciu, może więcej, i orkiestra była. Występowali na stadionach, bo w sali to by się oni nie zmieścili i widzowie by się nie zmieścili. Z tego co pamiętam, to chyba były bezpłatne te występy. Co jeszcze o tej kulturze można powiedzieć? Tak było biednie raczej, był okres kiedy bardzo dobrze funkcjonowała u nas w Lublinie operetka. Jeśli chodzi o teatr i operetkę to początkowo to byli artyści w mundurach wojskowych, którzy przyszedli ze wschodu. Później byli tacy, którzy w bardzo krótkim czasie się przenieśli do Warszawy, na przykład [Stanisław] Mikulski, [Jan] Machulski, oni wszyscy byli tu w Lublinie, w teatrze naszym lubelskim występowali. Bardzo popularna była operetka. My z siostrą byłyśmy bardzo młode dziewczyny, ale nie przepuściłyśmy żadnej operetki. Były te operetki klasyczne, dawnych kompozytorów, jak „Hrabina Marica” „Wesoła Wdówka” ale bardzo ładnie wykonywane. Był i balet. Mieli swoją siedzibę w Domu Żołnierza, potem to był Dom Oficera, tam przy ulicy Żwirki i Wigury. Repertuar był bardzo często zmieniany i my z siostrą wiernie chadzałyśmy na te operetki. To nie było takie drogie [przedstawienia], byłyśmy tam częściej, jak w teatrze Osterwy. I to był naprawdę dobry poziom i takie było wszystko cukierkowe, tak jak wymagała [sztuka]. Teraz to się wszystko modernizuje, teraz się coś unowocześnia i nie wiadomo czy to jest operetka, czy to jest dramat, bo tak wszyscy wymyślają, żeby coś zrobić nowoczesnego. Tamto było normalnie w sposób tradycyjny wykonywane, był chór, był balet i soliści. I naprawdę tam z przyjemnością się szło. Był okres, kiedy wszystkie miejsca, cała sala była zapełniona. Kilkaset [miejsc] na pewno. I my z siostrą też tam wędrowałyśmy i byłyśmy wiernymi słuchaczkami. Chodziłam również do teatru Osterwy, byłam na wielu sztukach w teatrze, ale najbardziej tę operetkę pamiętam, tam częściej chodziłam. Teatr Muzyczny powstał właśnie z tej dawnej operetki. Wiem, że znajomi prowadzali [dzieci] i byli zadowoleni z teatru Andersena. Ale on zaczął działać później do tych wszystkich, od operetki czy teatru Osterwy. Tak wyglądała ta kultura w okresie wczesno powojennym. I chyba więcej

było tej kultury jak teraz. Teraz może ważniejsze jest kino.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2015-11-17, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"